PROF. DR. WACŁAW TOKARZ

ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKOWSCY

— 20

KRAKÓW · 1915

NAKŁADEM CENTRALN. BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKOWSCY



PROF. U. J. WACŁAW TOKARZ

ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKOWSCY



KRAKÓW · 1915

NAKŁADEM CENTR. BIURA WYDAWNICTW N. K. N.





ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE · W SIERPNIU 1915 ROKU
RYSUNKI W. MITARSKIEGO

I.

Wojnę roku 1794 rozpoczęto pod znakiem walki ludowej. Już przed wybuchem powstania związkowi warszawscy zamierzyli rozesłać wysłużonych lub rozpuszczonych, dzięki redukcyi wojska, żołnierzy i podoficerów po wsiach i użyć ich tam w roli agitatorów i instruktorów ludowych. Wszyscy emisaryusze związku opierali się stale o wieś i starali się tam nawiązywać stosunki.

Generał-majorowie ziemiańscy, których Kościuszko — stosując się do wzoru Ameryki — pragnął ustanowić wszędzie, mieli skupić te usiłowania w swem ręku i przygotować faktycznie lud do odegrania poważniejszej roli w zamierzonem powstaniu.

Pamiętny atak kosynierów krakowskich pod Racławicami, który tak silny wpływ wywarł na całą późniejszą taktykę Kościuszki, umocnił i ożywił te nadzieje. Po całej Polsce, jak długa i szeroka, rozeszła się wieść o czynie kosynierów; wszędzie śpiewano ich piosenkę, wszędzie dotarło nazwisko Bartosza z Rzędowic.

Zdawało się, że teraz wojna toczyć się będzie na podobieństwo współczesnych walk w Wandei, stanie się

wielką partyzantką ludową, w której wojsko regularne odegra tylko rolę ośrodka organizacyjnego.

Na takie postawienie sprawy złożyły się dwa czynniki: wpływy ogólnoeuropejskie i psychologia całego ruchu naszego w roku 1794. Od XVII wieku począwszy, w pismach filozofów i statystów angielskich podniosły się silne głosy krytyki przeciw wojskom stałym, spopularyzowane później w Europie przez lżejsze i powabniejsze prace ich naśladowców francuskich. Walka kolonii amerykańskich nadała tym mniemaniom pewien walor praktyczny, uczyniła zwolennikami milicyi ludowych nawet ludzi, nie idących tak łatwo za prądem opinii.

W tym samym kierunku działał i przykład wojen Rewolucyi francuskiej. Gdy się patrzyło na nie zdaleka, to można było wierzyć w to, że zwycięstwa z roku 1793 przypisać należy wyłącznie temu uzbrojeniu całego narodu, jakie zarządziła Konwencya, że dawne wskazania co do składu, ustroju, a nawet uzbrojenia wojska ustąpiły na bok wobec powodzenia tworów ludowych. Tylko istotni organizatorowie tych zwycięstw, w rodzaju Carnota i jego doradców wojskowych, widzieli wówczas, że całe to pospolite ruszenie, te gwardye narodowe, a nawet i ochotnicy — są raczej moralnym czynnikiem zwycięstw, że główna zasługa przypada przecież armii regularnej, która wchłaniała w siebie te pierwiastki, kształciła je i zamieniała na obraz i podobieństwo swoje.

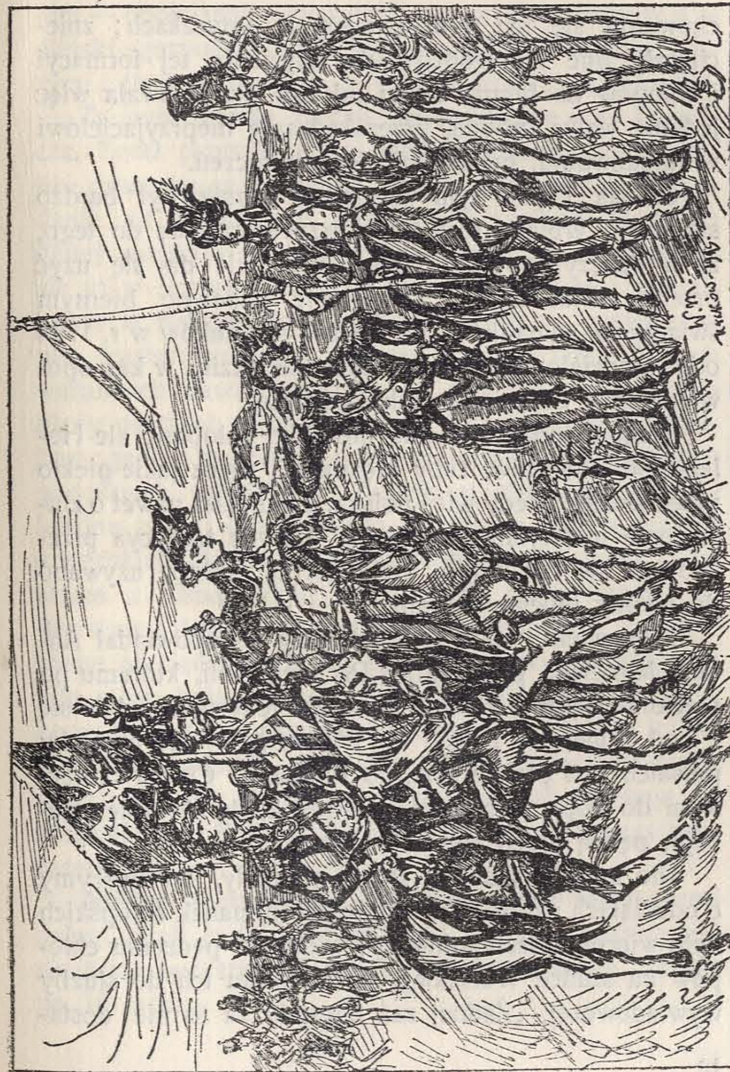
Przykład ten musiał działać wyjątkowo silnie na gruncie Rzeczypospolitej. Stworzenie armii regularnej, podług jedynego wówczas w Europie wzoru pruskiego, było sprawą długiego czasu i dużej, systematycznej pracy, na jaką nie pozwalały warunki krajowe. Natomiast odwołanie się do pospolitego ruszenia, tworzenie milicyi miejscowych — to były pomysły, leżące jakby w tradycyi i charakterze narodu, dające się — na pozór przynajmniej — przeprowadzić znacznie łatwiej. Na tę drogę wskazywali już statyści z czasów sejmu czteroletniego, myślał o niej i sam sejm w ostatnich swych uchwałach przed wojną roku 1792. Odpowiadała ona wybornie całej psychologii ruchu roku 1794: jego niecierpliwości rozpoczęcia działań, wierze w skutki militarne podniesienia sprawy włościańskiej.

Zastosowaniem tych pomysłów w praktyce były uniwersały o pospolitem ruszeniu. Opierano je na nowej, demokratycznej podstawie, nie zarzucając jednak w zupełności i dawnych wskazań. Do uczestnictwa w niem powoływano szlachtę zamożniejszą, nakazując jej stawać na czele gromad i razem z czeladzią dworską tworzyć kadry lepiej uzbrojone i bitniejsze; wzywano szlachtę drobną w roli szeregowców na równi z chłopem, którego ubezpieczono równocześnie pod względem gospodarczym, obowiązując dwory do zmniejszenia dni pańszczyźnianych, zaopiekowania się rodzinami i gospodarstwami walczących. Chciano z pospolitych ruszeń uczynić milicye miejscowe, działające w granicach parafii, najwyżej powiatu, oddawano je pod dowództwo generał-majorów ziemiańskich, obieranych w zasadzie przez szlachtę, uzbrojono w kosy i piki, zobowiązano do ćwiczeń w niedziele i święta.

Ustrój ten zaprowadzono na całym prawie obszarze, jaki ogarnęła wojna w r. 1794, z początku bez większych trudności. Tu i ówdzie podniosły się głosy przeciwne szlachty, wskazując na to, że pospolite ruszenia zaszkodzą gospodarstwu; w niektórych okolicach generałowie korpusów skarżyli się, że komisye porządkowe nie wykonywują należycie uniwersałów, w innych znowu — dały się wyczuć pierwsze odgłosy opozycyi chłopskiej przeciw nowemu urządzeniu.

To wszystko jednak na razie ginęło w powodzi doniesień o dobrem, ochoczem wykonywaniu uniwersału. Z szeregu województw donoszono o tem, że komisye porządkowe przeprowadziły spis ludności, uzbroiły ją swym kosztem w piki i kosy, wybrały gorliwych dowódców, ćwiczyły systematycznie lud, zaprowadzały wszędzie słupy alarmowe z beczkami smolnemi; z raportów niektórych generałów okazywało się, że czasami pospolitacy występowali w pokaźnej liczbie kilkunastu tysięcy. Na razie pomysł więc wchodził w życie i miał tylko wytrzymać krytykę rzeczywistości.

Wypadki dały w tej mierze odpowiedź podwójną: niepomyślną i pomyślną. Niepomyślną o tyle, że o użyciu pospolitego ruszenia w bitwach większych nie mogło być mowy. Dowiodła tego nietylko fatalna porażka pod Rajgrodem w Augustowskiem, gdzie półtrzecia przeszło tysiąca samych pospolitaków przeciwstawiono batalionowi i paru szwadronom pruskim, ale i bitwy pod Chełmem i Kolnem, gdzie stanowili oni tylko małą część sił polskich. Tych wrażeń nie mogły zatrzeć dość liczne doniesienia o względnie dobrem za-



ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKI. OFICEROWIE KAWALERYI NARODOWEJ.

chowaniu się ich w drobniejszych potyczkach; zniechęcały one i dowódców do używania tej formacyi i chłopów do brania w niej udziału. Pozostawała więc jedynie walka drobna, przeszkadzanie nieprzyjacielowi w furażowaniu, przecinanie jego połączeń.

Jednak i pod tym względem wynik był bardzo skromny. Wojsko rosyjskie, przyzwyczajone do tego, że w Rzeczypospolitej chłop, o ile nie da się użyć przeciw szlachcie, to pozostanie napewno biernym świadkiem wypadków, na zmianę stosunków w r. 1794 odpowiedziało represyami, które zapędziły w kąt opowiadania o okrucieństwach Drewicza.

Trzeba czytać zeznania nie tylko chłopów, ale Holendrów, Niemców, żeby zrozumieć, przez jakie piekło przechodziła wtedy wieś polska. I mniejsza nawet o zniszczenie materyalne, o gwałty, których tradycya przechowała się tak długo. Było gorzej: chłopa używano do posług innego rodzaju.

„Nie wiem, wielu jest żołnierzy — opowiadał Antoni Jemielski, gospodarz z Pachnej Woli, któremu po pięciomiesięcznej służbie w obozie rosyjskim udało się z pod Wilanowa zbiedz do Warszawy — ale chłopów polskich jest prawie tyle, co i Moskali. Chłopi są używani do kopania bateryi i rowów; kiedy Moskale uciekają, pędzą przed sobą chłopów".

Nie było w tem ani słowa przesady, bo słyszymy o oddziałach rosyjskich, w których furmanek chłopskich było więcej, aniżeli żołnierzy; wiemy o pędzeniu chłopów na szańce Warszawy, o używaniu ich do służby wywiadowczej. „Żadnej zaś nagrody za to nie dostałem — opowiadał o podobnej przygodzie Walenty Koźliński, gospodarz z pod Rawy — prócz batogów, którymi i ekonom i pisarz ze mną podzielić się musieli".

To były zresztą rzeczy praktykowane i za Drewicza. Teraz przyszły nowe, osobliwe represye za pospolite ruszenia, za zapalanie beczek alarmowych i napadanie na drobniejsze oddziały. Wysyłano wtedy do danej miejscowości kolumny karne, które — zdarzyło się to w Szczekocinach we Włoszczowskiem i w Bulkowie w Kobryńskiem — dopuszczały się postępowania, dorównywującego scenom z rzezi Pragi. W tych warunkach nawet szlachcic ze swą czeladzią rzadko kiedy ośmielał się stawić opór drobniejszym oddziałkom; gazety współczesne wspominają zaledwie o dwóch podobnych wypadkach. Zazwyczaj chroniono się za kordon pruski lub uciekano do puszcz, jak za czasów szwedzkich. Michał Gulawski, parobek z Błędowa, który razem z Grzegorzem Buczyńskim przyprowadził do Warszawy dwa konie, zdobyte na kozakach (za uzyskane pieniądze kupił on przedewszystkiem buty, „bo tam u nas butów teraz w żaden sposób nie dostanie"), opowiadał, że w puszczy Kampinoskiej jest do kilkunastu tysięcy ludzi, zbiegłych z całym dobytkiem przed okropnościami walki, że chłopi zawsze uciekają za zbliżeniem się Rosyan, którzy „biją i nazywają nas konfederatami".

Między zebranymi w puszczy wielu miało broń palną, mieli ją wszyscy budnicy, a jednak pokazywały się tutaj bezkarnie oddziały nieprzyjacielskie, liczące po 10 ludzi.

Czasami i chłop zbiegał masowo za kordon pruski, idąc drogą, wskazaną mu przez Holendrów.

Do pospolitego ruszenia garnięto się wtedy, gdy wojska polskie szły naprzód; gdy się cofały, zakopywano kosy, ścinano słupy z beczkami alarmowemi. 9 maja po — po utarczce w Białej — oddział z korpusu Haumana cofnął się z okolic Starej Wsi i Mogielnicy, posiadłości Bazylego Walickiego, wojewody rawskiego. Wtedy właściciel kazał odrazu zatopić w stawku na mieliźnie otrzymane od oddziału polskiego kosy. „Wpadło mi w uwagę — mówił — że piki i kosy, będąc między chłopów rozdane, prędzej niebezpieczeństwo i zgubę sprawić mogą, niż jakową pomoc, gdyż chłop bez regularnego wojska nie porwie się do tych narzędzi obrony".

Czasami drobniutkie oddziałki kozackie gospodarowały po miasteczkach i wsiach. W Goszczynie w Czerskiem, w połowie maja, ośmiu kozaków wybrało furaże; w Łosicach dwóch zrabowało całą wieś, za co zresztą generał Zajączek kazał aresztować ekonoma, mówiąc, że należało się bić".

Ale przecież i we Francyi w r. 1792, w okresie największego przywiązania chłopa do rewolucyi, nie wszędzie i nie zawsze napadano na drobne oddziały nieprzyjacielskie, a w Rzeczypospolitej nie zbywało także i na wypadkach samorzutnej drobnej walki milicyi miejskich i wiejskich. W okresie odwrotu Igelströma i Nowickiego z Warszawy — walczyły na własną rękę milicye Czerska, Góry, Radzymina, Tarczyna, Końskich, Szczekocin i t. d. Ruch ten ogarniał i wsie.

Trzy razy odparł przeciwnika słynny Pawłów; chłopi dopomogli milicyi Nowogródka do obrony miasta przed najazdem.

Takich faktów możnaby z zeznań chłopskich przytoczyć znacznie więcej. „Raz 9 kozaków chciało rabować Krobów (wieś Wybickiego) — opowiadał Stanisław Sułkowszczak — aleśmy się nie dali i ich wygnaliśmy". Pod Radomiem chłopi napadali na drobne oddziałki z korpusu Fersena. Na Podlasiu, Żmudzi i Litwie zdarzało się to znacznie częściej; przeciwnik zaczynał się już poważnie liczyć z tym faktem. Gdyby armii regularnej dłużej dopisało powodzenie, to partyzantka ludowa mogła przybrać znacznie większe rozmiary.

Jeżeli się do tego momentu moralnego, jaki stworzył bądź co bądź nawet drobny udział chłopa w walce, dołączy usługi, oddane przez pospolite ruszenia w zakresie służby garnizonowej, granicznej, transportowej, to niepodobna mówić o tem, że nadzieje, pokładane w nich, w zupełności zawiodły, mimo, że pod koniec wojny wypadło je znieść prawie że całkowicie.

Na to postanowienie złożyła się — oprócz wymienionych powyżej — jeszcze jedna, bardzo poważna okoliczność. Praktyka okazała mianowicie, że tam, gdzie komisye porządkowe i generał-majorowie ziemiańscy rozwinęli najwięcej czynności w kierunku uzbrojenia ludu, siłą rzeczy dochodziło do tego, że odrazu z pospolitych ruszeń wybierano pierwiastki bitniejsze i lepiej uzbrojone (zastępców konnych szlacheckich, strzelców, budników, drobną szlachtę, ale często i chło-

pów, np. Kurpiów) i tworzono z nich oddziały ochotnicze.

Na tej okoliczności oparł się pełnomocnik Rady na Podlasiu, Horain, nakazując 28 lipca wybierać z pospolitych ruszeń pierwiastki więcej uzdolnione do walki; na niej również — Kościuszko, polecając Radzie wstrzymać używanie pospolitych ruszeń i zastąpić je nowym poborem rekruta (18 września). Można się domyślać, jak ciężko przyszło mu powziąć to postanowienie, stwierdzające — mimo wszystko — pewien zawód pierwotnych nadziei.

Wszak później na emigracyi — w książeczce, stanowiącej jakby jego testament polityczny i wojskowy („Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość") — Naczelnik nakreślał szeroki plan wywołania wielkiej walki ludowej, powołując się na przykłady Szwajcaryi, Ameryki i Wandei i w nim jedynie widział zbawienie kraju.

Wszak już jako starzec, odsuwający się prawie od udziału w życiu politycznem, ożywiał się i zapalał na wspomnienie Racławic i ataku kosynierów, mówiąc, że była to najpiękniejsza chwila jego życia.

II.

Odrębne stanowisko wśród tych pospolitych ruszeń zajmuje milicya obywatelska warszawska. Z nią przenosimy się w świat odmienny od tych gromad pospolitaków, nie zawsze groźnych dla nieprzyjaciela, ale

za to mocno niebezpiecznych dla Żydów, Holendrów, zagarniających po drodze wszystko, co się dało, bardzo skłonnych często do wieszania. Wśród mieszczaństwa stolicy może instynkty były te same, ale pewien pokost kultury sejmu czteroletniego, a zwłaszcza francuskiej i rewolucyjnej, zrobił już swoje i zmienił wygląd tych ludzi. Nie są oni całkowicie podobni do burżuazyi paryskiej, którą utworzenie gwardyi narodowej natchnęło takiem poczuciem militarnem, że nawet fryzury kobiet, nawet zabawki dziecinne uległy wpływowi mężów i ojców, myślących tylko o patrolowaniu, wartach, przeglądach, ale przypominają ją po trosze.

Swój początek milicya obywatelska wzięła via facti, w chwili tego pochwycenia całej Warszawy za broń, rozebraną z arsenału, zdobytą podczas walki dwudniowej. Miasto zaroiło się od ludu zbrojnego: najspokojniejszy obywatel nie pojawiał się odtąd na ulicy inaczej, jak uzbrojony od stóp do głów, i to nawet wtedy, gdy prowadził pod rękę swą małżonkę. Nadaremnie Rada zastępcza, zaniepokojona licznemi nadużyciami, pragnąca zachować tak drogocenną wówczas broń palną dla pewniejszych rąk żołnierskich, wydawała nakazy zwracania karabinów do arsenału, zabraniała zbrojno wychodzić na ulicę; Warszawa broni oddać nie chciała.

Na odezwy Rady odpowiadano petycyami, w których była mowa o tem, że „obywatele zostają bezbronni w tak wahających się okolicznościach, gdzie naokoło nieprzyjaciel okrutny na nasze karki czuwa", że „swemi piersiami i azardem życia swej bronili wolności", i trzeba się było cofać: ograniczać, znosić nawet

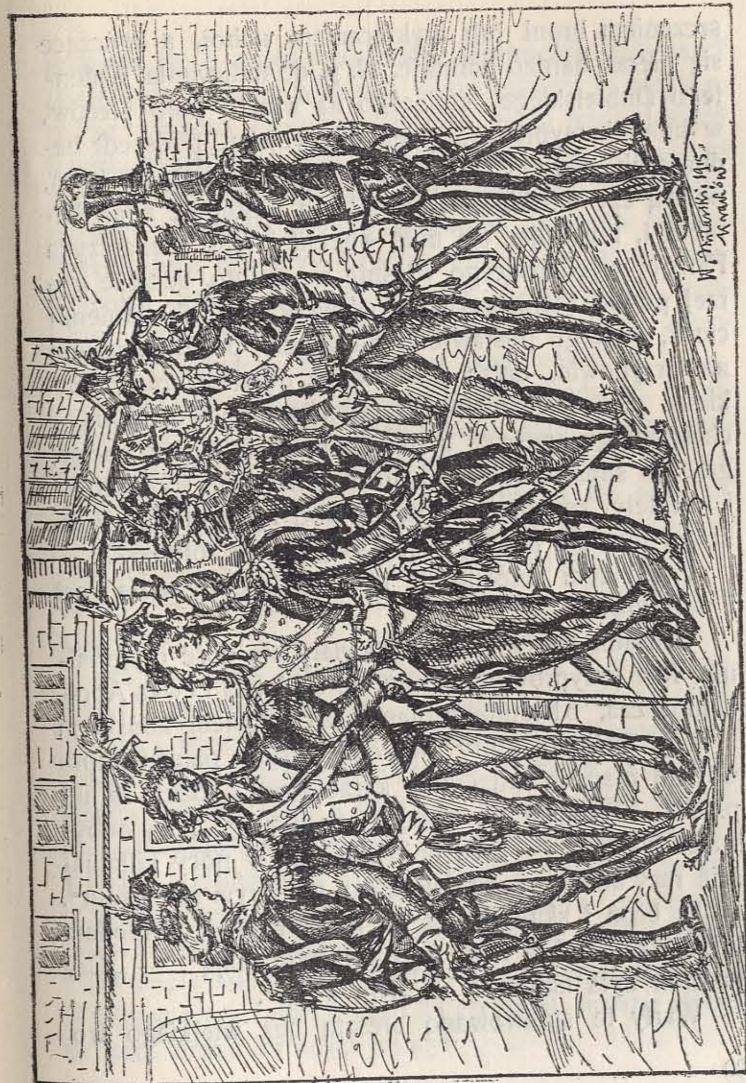


pierwotne zarządzenia. Tej broni z arsenału nie chciano oddać do końca wojny; nie pomagały ani gorące wezwania Naczelnika, ani rewizye domowe, przeprowadzane przez wojsko. Nawet dział nie pozwalano zrazu zabierać z placów.

Tembardziej nie mogło być mowy o tem, aby udział w milicyi municypalnej ograniczyć tylko do zamożniejszych warstw mieszczaństwa, jak to pierwotnie zamierzała uczynić Rada zastępcza, pragnąca skierować do wojska regularnego żywioły „luźne".

W organizacyi ostatecznej (z dn. 9 maja) wypadło powołać do niej wszystkich mężczyzn w wieku od lat 15—50, nie wyłączając nawet Żydów. Milicyi dano prawo wyboru setników, a pośrednio tysiączników i komendantów cyrkułowych; dodano jej kierowników wojskowych i uzbrojono ją, dzieląc oddziały na trzy szeregi, w broń palną, kosy i piki; zobowiązano ją nie tylko do służby wewnętrznej policyjnej, ale i do uczestnictwa w obronie Warszawy. Wśród jej szeregów odróżniano jednak zawsze zamożniejszych mieszczan, posiadających mundur municypalny i kapelusze z czarnemi piórami, którym powierzano stale wartę na zamku; obok niej uformowano rodzaj milicyi ruchomej, złożonej z tych ludzi, którzy potworzyli oddziałki ochotnicze już w dniu 17 kwietnia.

Do służby w milicyi garnięto się zrazu bardzo ochoczo. Warszawa stała się jednym wielkim obozem, pełnym ludzi, zajętych wyłącznie bronią. Obchodzono się z nią dość nieostrożnie, bo w aktach pełno spraw o strzelanie po domach i na ulicach, wywołane czy-



ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKI. OFICEROWIE PIECHOTY.

szczeniem broni lub wykręcaniem naboi, a kończące się nieraz bardzo smutnie. N. p. do milicyanta Walentego Dubielskiego, stojącego na warcie koło pieców, w których wypiekano chleb dla wojska, podszedł bednarczyk, Jan Leyman, i zapytał go się, jaką ma broń, polską czy moskiewską; wziął mu następnie z rąk karabin i, mustrując się nim, strzelił i ranił piekarczyka Fafego, wychodzącego właśnie z namiotu. Jeszcze gorzej poszło Stanisławowi Kruszewskiemu, 50-letniemu cieśli, którego postawiono na warcie przed ratuszem na Grzybowie, dając mu broń z odwiedzionym kurkiem. „Bojąc się niebezpieczeństwa — powiadał on — chciałem go spuścić, a nie umiejąc się z tem obejść, gdy go spuścić chciałem, broń tymczasem wystrzeliła“ i, niestety znowu znalazła się pod ręką ofiara. Warszawa musiała przejść przez swą szkołę żołnierską.

Z zapałem rzucono się również do odbywania wart i patrolowania.

Czasami warty te przedstawiały się dość oryginalnie. Raz przyprowadzono np. do śledztwa Lewka Abrahamowicza, 51-letniego handlarza włosiem końskiem z ulicy Zielonej, który „w Pociejowskim pałacu kupował od różnych ludzi kule karabinowe i różnie za nie płacił“. Wywiązał się następujący dyalog: „Czy odbywałeś warty?“ — „We dnie nie, ale w nocy kilkanaście razy stałem przed dworkiem, w którym mieszkam“. „Jaką broń i skąd miałeś na warcie?“ — „Gospodarz mi dawał karabin taki, jaki żołnierze mają“. — „Czy ta broń była nabita?“ — „Nie wiem“.

Warty te sprawowano zresztą bez wielkiego troszczenia się o rygor wojskowy. Wprawdzie milicyanci mieli duże pojęcie o swych obowiązkach i gorliwie, nieraz zanadto gorliwie, śledzili ludzi podejrzanych i aresztowali ich z lada powodu, co zresztą czasami kończyło się dość smutnie, gdyż łobuzy i pijacy warszawscy nie mieli zawiele szacunku dla tych świeżo upieczonych żołnierzy i nieraz pobili porządnie wartownika, zanim przybyła odsiecz. Zawadyacko zwłaszcza zachowywała się milicya wobec szlachty, zapominającej czasami, że to są już czasy równości.

Co za historyę np. wywołał Antoni Giedroyć, szambelan królewski, gdy, jadąc konno koło rogatek powązkowskich, nie posłuchał ostrzeżeń pikiet milicyjnych i na zarzut zbytniego zbliżania się do okopów, krzyknął milicyantowi: „Łżesz, durniu!“ W jednej chwili obskoczono go dokoła, ściągnięto z konia i zaprowadzono do aresztu. Już to aresztować lubiła milicya namiętnie.

Na porządku dziennym było wdawanie się w rozmowy i kłótnie na warcie, a nieraz i schodzenie z posterunku przed terminem; w dodatku milicyanci nie bardzo chcieli słuchać swych dziesiętników i setników, lekceważąc ich szlify i feldcechy podoficerskie i oficerskie. Dawało się to mocno we znaki, zwłaszcza przy wartach więziennych. Cały szereg wypadków, w których uwięzieni skorzystali z braku dozoru, między innemi i sprawę Wulfersa, odwiedzającego więźniów bez pozwolenia Rady, zakończoną tak tragicznie (śmiercią Wulfersa z rąk ludu w dniu 28 czerwca), należy złożyć na karb braku karności milicyi.

Była chwila — po wypadkach 28 czerwca — że Rada zamierzała poddać przestępstwa przeciw karności milicyi pod rygor kodeksu wojskowego; skończyło się jednak na bardzo umiarkowanym, rozporządzającym głównie karami moralnemi, kodeksie milicyjnym.

To też służba milicyi municypalnej była stale przedmiotem krytyki żołnierzy z wojska regularnego, którzy z góry spoglądali na milicyantów i nie szczędzili im przytyków. Odwzajemniano się im nieraz za to, zmuszając podczas alarmów dymisyonowanych lub urlopowanych oficerów do stawania pod karabinem w szeregach milicyi, lub też do pracy nad robieniem naboi.

Z początku przynajmniej był duży zapał do tej służby; słabł on jednak stopniowo, gdy stawała się ona cięższą i systematyczniejszą. Zaczęto się wtedy usuwać od niej, unikać zwłaszcza wartowania na okopach.

Nieraz dochodziło z tego powodu do scen bardzo zabawnych. Naprz. 27 lipca — w czasie oblężenia Warszawy — ułani Königa złapali na ulicy niejakiego Moszka Szyjowicza, bakałarza, przekradającego się w sukniach kobiecych ku pałacowi Pociejowskiemu. Co za powód do podejrzeń, zwłaszcza w tej tak podejrzliwie nastrojonej wówczas Warszawie! Tymczasem rzecz była prosta: Szyjowicz bał się, aby go nie zabrano do wartowania na okopach, a musiał wyjść po zakupno chleba. Zamożniejsze mieszczaństwo, Żydzi poczęli dawać za siebie zastępców na warty; rzemiosło zastępcy stało się nawet źródłem zarobku dla klas biedniejszych, zwłaszcza odkąd i Rada zaczęła płacić wyrobnikom za tę czynność po złotówce na dzień.

O wątpliwej wartości milicyi w roli czynnika, czuwającego nad porządkiem stolicy, przekonały wymownie wypadki 27 i 28 czerwca. Gdy w piątek wieczorem (27-VI) lud, podburzony przez agitatora Konopkę na okopach, wrócił do Warszawy, to milicya przedewszystkiem wzięła udział w tem zgromadzeniu na tyłach ratusza od ulicy Jezuickiej, na którem wyraźnie wzywano do wieszań.

Część milicyantów udała się potem najspokojniej do szynkowni na piwo, przy którem rozmawiano o mowach i mówcach, a w końcu poszła spać do domów. W nocy patrole milicyjne przypatrywały się z zupełnym spokojem stawianiu szubienic przy pochodniach.

Gdy na drugi dzień zaalarmowano milicyę, zachowała się ona również biernie: część milicyantów wzięła czynny udział w wieszaniu, inni sprowadzali spowiedników do traconych, a większość nie chciała się ruszyć z kordegardy w pałacu Brühlowskim nawet w chwili napadu ludowego i wyprowadzania więźniów na stracenie. Co więcej, część milicyi, z doboszem na czele, wzięła później udział w poszukiwaniu Konopki i urządzeniu mu owacyi.

Okazywało to najwymowniej, że w wypadkach, gdy trzeba było wystąpić czynnie przeciw rozruchom ludowym, na milicyę liczyć niepodobna. Była ona dzieckiem ludu i zanadto żywo odczuwała jego sympatye i niechęci.

To też po zajściach czerwcowych zanosiło się na poważne zmiany w niej. Do stolicy ściągnięto więcej żołnierza regularnego; do wart w mieście poczęto uży-

wać tylko zamożniejszych mieszczan, a Zakrzewskiemu polecono „wyciągnienie siły zbrojnej z milicyi municypalnej“, to jest wzmocnienie milicyi ruchomej. Dopiero oblężenie miasta wstrzymało Radę na tej drodze i pogodziło ją z milicyą.

O ile chodzi o służbę wojskową milicyi w polu, przeciwko wrogowi, to sposobność do niej znalazła ona dopiero w okresie tego oblężenia. Wywiązała się z tego zadania zupełnie dobrze, jak przystało na mieszczan stolicy, którzy nie poszczędzili swej krwi już w czasie walk z garnizonem rosyjskim w dniach 17 i 18 kwietnia. Naczelnik wyróżnił przy obronie Warszawy cały szereg obywateli, a z relacyi Zajączka i Górskiego, ze wzmianek o śmierci setników na polu walki wiemy, że podczas oblężenia ożywiał ją większy animusz, niż wtedy, gdy w dniu 28 czerwca przychodziło stawiać czoło przywódcom ludowym, o których sam Naczelnik wyraził się, że „nie obce intrygi i nie przekupstwo“ powodowały nimi, i chciał tylko, „aby zapalczywość ich przeciw zdrajcom Ojczyzny zwrócona dziś została na nieprzyjaciół naszych“.

III.

Wbrew pierwotnym nadziejom ciężar wojny spadał przeważnie na barki żołnierza regularnego, istotnego sprawcy i bohatera powstania Kościuszki. Gdy się w wyobraźni — na podstawie znanych nam faktów — odtwarza pola bitew powstania r. 1794, to na pierwszy plan wysuwają się zawsze szeregi regularne, przyjmu-

jące na siebie główny ciężar zarówno ataku, jak i obrony. Racławice, atak kosynierów na armaty — oto zjawiska pierwszego okresu powstania, załamane już w bitwie pod Szczekocinami; jego środkowi, czasowi oblężenia Warszawy, nadała zasadniczą cechę wyborna artylerya koronna i piechota; końcowi — ta wspaniała, desperacka walka piechoty pod Maciejowicami i w okopach Pragi. I rzecz znamienna — do szeregów żołnierskich dostawali się w rezultacie i bohaterowie Racławic, którzy zamienili się częściowo w regularny batalion grenadyerów krakowskich, i ludzie, jak Kiliński, organizujący oddziały ochotnicze mieszczan.

Wojsko nasze z r. 1794 posiada niewątpliwie swą odrębną polską fizyognomię, ale było ono również i dzieckiem swych czasów, wynikiem ogólnoeuropejskich zasad ustroju wojskowego. Zasady te opierały się wtedy na skojarzeniu ze sobą dwóch czynników: zaciągu ochotników mniej lub więcej dobrowolnych, który szedł już coraz gorzej wobec nizkich płac żołnierza, złych warunków jego bytu materyalnego i — awansu, oraz przymusu służby powszechnej, którą jednak — ze względu na pojęcia owoczesne o dobrobycie kraju i przywileje stanowe — zaprowadzano bardzo ostrożnie i zwalano wyłącznie na warstwy najbiedniejsze ludności włościańskiej. Ochotnicy owocześni byli to cudzoziemcy i krajowcy, zwerbowani często przez podstęp i gwałt z pośród żywiołów, dla których wojsko miało być rodzajem zakładu karnego; kantoniści (t. j. rekruci, dostawieni przez dwory) — ludźmi, wybranymi przymusowo z bezrolnych lub małorolnych

włościan. Na tle tych stosunków wypadnie przedstawić i nasze wojsko z r. 1794, nimi należy mierzyć porównawczo skład jego.

A więc naprzód ochotnicy roku 1794. Na pierwszy plan wysuwają się tutaj ludzie, którzy wnieśli w szeregi żołnierskie najcenniejsze pierwiastki odwagi, poświęcenia, inteligencyi, którzy zgłaszali się do nich z całą świadomością celów walki, z chęcią poświęcenia im życia w ofierze. Była to przedewszystkiem młodzież szlachecka i mieszczańska z Wielkopolski, przedzierająca się do Warszawy już w pierwszych tygodniach po 17 kwietnia. Stare to — widzimy — dzieje ta historya niezwykłego szafunku krwi i mienia dzielnicy Wielkopolskiej, wcześniejsze od ofiar roku 1806. Dopiero po Wielkopolsce idzie w tej mierze Galicya, a na szarym końcu znajduje się kordon rosyjski, z za którego najmniej stosunkowo przybyło ochotników.

Posłuchajmy opowiadań tych ludzi.

W początkach maja wybrała się do Warszawy cała gromadka takich ochotników, złożona z Łukasza Bogusławskiego, ongi aplikanta w Straży Narodowej, Kajetana Węglińskiego, dziedzica wsi Białężyce pod Wrześnią, niedawno wyszłego ze szkół, i Nepomucena Pruskiego, byłego oberbombardyera artyleryi koronnej; towarzyszył im służący, Antoni Mieliaszewicz, również zamyślający wstąpić do wojska. „Tu i więcej młodych chłopców z Wielkopolski wybiera się do Warszawy — mówili — jako to Mieczkowski, Korytowski i inni". Przykład takich wypraw dał kasztelanic Zakrzewski, który wykreślił nawet drogę, wskazał odpowiedni bród



ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKI. PIECHOTA.

na Bzurze. Jechali za cudzymi paszportami, które wizowano na pocztach, od czasu do czasu spotykali huzarów pruskich, którzy z początku dobrodusznie zapytywali ich o to, czy jadą do Warszawy. Dopiero nad granicą trzeba się było mieć na ostrożności, bo tu już Prusacy nie żartowali — i niejeden z ochotników dostał się, zamiast do Warszawy, do więzienia w Łowiczu. Za Kutnem był jednak jakiś biedny szlachcic, który za parę talarów i butelkę wina podejmował się przeprowadzania przez granicę. Szło się manowcami, przez błota, nocą, nieraz tak blizko straży pruskich, że słychać było „Wer da?" szyldwachów. Za Bzurą pędzono już konie ostro aż do Warszawy.

Ruch ten ogarniał nie tylko młodzież, ale i ludzi starszych, rozważniejszych. 50-letni Krzysztof Błoński, archiwista sądów ziemskich w Piotrkowie, dziedzic Lutosławic, pobił urzędnika pruskiego. Poszło o to, że tenże zabierał bez rewersów akta ziemskie do ratusza i w kłótni z Błońskim uderzył go w twarz. Stary palestrant odpowiedział na to tak silnem uderzeniem kluczami w głowę przeciwnika, że ten upadł zalany krwią. Trzeba było uciekać do Warszawy i jąć się na starość wojaczki.

Wspomnienia dawnych czasów budziły się i w konfederatach barskich. Ruszył z Sieradzkiego do Warszawy 50-letni Jan Rudnicki, prowadząc ze sobą konie i luzaka, bo konfederatowi wypadało służyć tylko w jeździe i to z własnym pocztem; udali się tam: 46-letni Kazimierz Bystrzonowski, dzierżawca, żołnierz z pod Kazimierza Pułaskiego, który był na zesłaniu w głębi

Rosyi, i 44-letni Jan Rudnicki (również), służący dworski, sprzedany ongi Prusakom przez Drewicza.

Czasami pod chorągwie garnęli się i ludzie, którzy — zdawałoby się — skończyli już swe porachunki z życiem po długiej a burzliwej przeszłości.

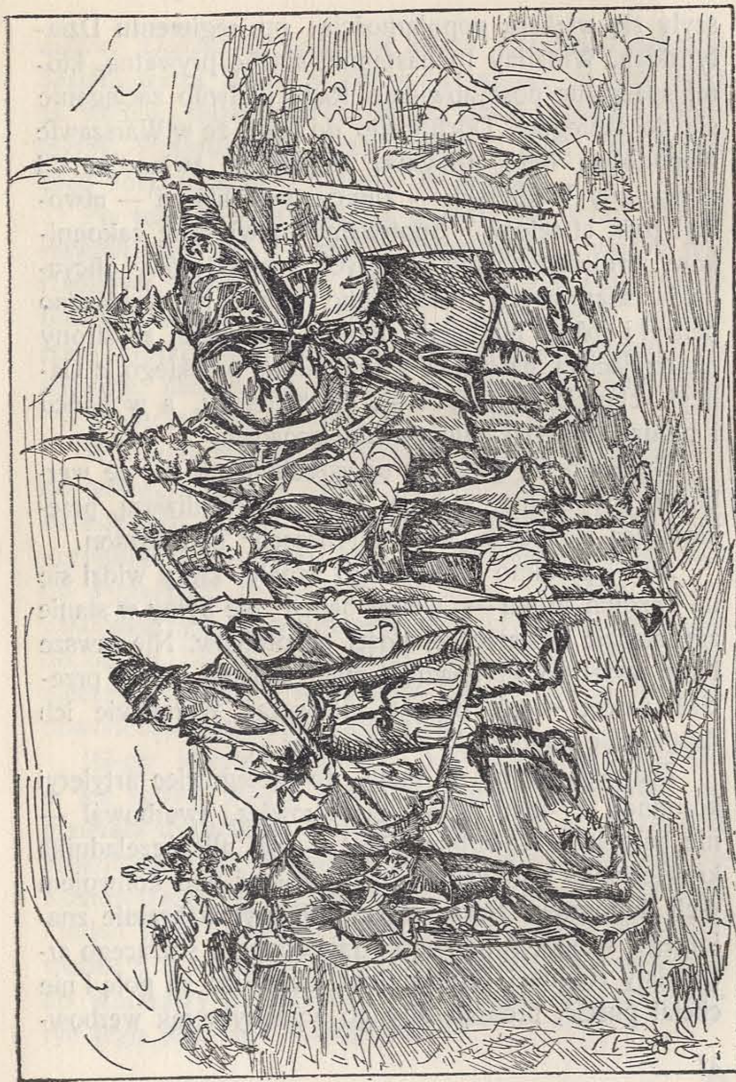
Takim był np. 50-letni Bonawentura Gliszczyński, pustelnik z pod Sempolna. Uciekł on w swoim czasie ze szkół do wojska austryackiego, zdezerterował z niego, służył za konfederacyi Barskiej pod Malczewskim, Bierzyńskim, Walewskim, dwukrotnie zbiegł z niewoli rosyjskiej. Był później na służbie w Swarzędzu, ożenił się, ustalił zupełnie. Przyszło nieszczęście — pochował żonę i dwoje dzieci — i zagnało go do Franciszkanów w Gnieźnie. Tutaj nie chciał zostać kwestarzem, wystąpił z zakonu, był w Rzymie, aż osiadł w końcu na pustelni w Sempolnie. Nie mógł i tam wysiedzieć spokojnie, gdy nadeszła wiadomość o wypadkach r. 1794; począł się ruszać, agitować i w końcu ściągnął na siebie uwagę władz pruskich. Wypadło uciekać do Warszawy i pójść do strzelców Dembowskiego, bo na konia środków nie było.

I nie tylko szlachta, nie tylko dawni wojskowi z za kordonu pruskiego garnęli się do szeregów; gorączka ta ogarniała i mieszczan. „Czy masz rodziców i czy z ich wiadomością puściłeś się do Warszawy?" — zapytywano w śledztwie 24-letniego Pawła Łukowskiego, rzemieślnika z Płocka. „Mam tylko matkę, bez której wiadomości puściłem się do Warszawy, a to dlatego, żem się spodziewał, iż mi nie da siebie odstąpić i będzie płakać". Na granicy Rzeczypospolitej, we wsi Ka-

mieniu zgłosił się on do strażnika solnego polskiego i oświadczył, „iż idzie do wojska polskiego do Warszawy". „Cóż strażnik na to?" — zapytał prowadzący śledztwo. „Powiedział mi: Dobrze czynisz, gdy idziesz do wojska polskiego". Łukowskiemu dano podwodę do drugiej wsi i takim rzemiennym dyszlem dostał on się do Warszawy. „Nie mam nic powiedzieć, ani przydać — kończył zeznanie — prócz tego, że chcę iść do wojska polskiego, na co się ofiaruję i przysiądz gotów jestem".

Z tych żywiołów formowano te wielkopolskie oddziały strzelców Dembowskiego, ten „trwały korpus jegrów, czyli strzelców województw wielkopolskich", którego dowódcą był Sokolnicki, a organizatorem Rymkiewicz, zapewniający w swej odezwie, że stoi przy ulicy Długiej, w domu Raczyńskich, „gdzie każdy mile i wdzięcznie przyjęty będzie".

Obok przybyłych z za kordonu „wolny bęben" i w reszcie Rzeczypospolitej pociągał najrozmaitsze żywioły pod sztandary zarówno wojska liniowego, jak i bardzo licznych oddziałów ochotniczych. W roli ochotników naprawdę dobrowolnych — obok młodzieży szlacheckiej, b. konfederatów barskich, dawnych wojskowych — spotykamy przedewszystkiem studentów. Dała w tym kierunku przykład młodzież Akademii Jagiellońskiej, zaciągając się bardzo licznie pod sztandary Naczelnika zaraz po Akcie Krakowskim. Szkoły prawie wszędzie wypadło zamknąć, gdyż starsi studenci, zwłaszcza t. zw. dyrektorowie, garnęli się energicznie do wojska liniowego, głównie do tych pułków, które cie-



ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKI.

Z BATALIONU KOSYNIERÓW KRAKOWSKICH.

szyły się większą popularnością, np. regimentu Działyńskich. Widzimy tu następnie służbę prywatną, której specyalne postanowienie Rady ułatwiło zaciąganie się do szeregów. Dochodziło do tego, że w Warszawie niepodobna było utrzymać służącego, zwłaszcza od czasu, gdy Węgierski — z inicyatywy liberyi — utworzył pułk strzelców. Spotykamy tu wreszcie zakonników, zwolnionych lub zbiegłych z klasztorów, oficyalistów skarbowych z nad granic, którym nie wypłacano pensyi i którzy podlegali ciągłym rabunkom ze strony nieprzyjaciela, parobków z za kordonu pruskiego, z Galicyi, chętnie garnących się do szeregów, a w końcu i bardzo licznych chłopów miejscowych.

Skarżono się przecież powszechnie na to, że werbownicy wybrali ze wsi całą młodzież ruchliwszą, przekładającą służbę w „wolontaryuszach" nad kanton.

Ale — pomimo całego tego zapału, który widzi się na każdym kroku — „wolny bęben" nie byłby w stanie zgromadzić dostatecznej ilości ochotników. Nie zawsze i nie wszędzie werbownicy mieli zadanie łatwe; przecież nawet w tak ofiarnej naówczas Warszawie ich działalność napotykała nieraz opór.

Zdarzyło się np. w maju, że szeregowiec artyleryi koronnej, 17-letni Jakób Serafinowicz, zwerbował — nie bardzo dobrowolnie widać — na ulicy czeladnika krawieckiego i prowadził go do koszar pod konwojem 4-ch doboszów. Naraz rekrut zobaczył w bramie znajomego swego, Antoniego Krajewskiego, służącego archiwisty Komisyi Edukacyjnej, złapał go za połę i nie chciał puścić, prosząc, aby go wydobył z rąk werbowników. Doszło do bójki, w której Krajewski uderzył Serafinowicza kijem w głowę tak silnie, że ten padł na ziemię, zalany krwią. W tej chwili nadeszli pikinierzy, Krajewskiego aresztowano i, jako „mającego chęć potykania się", oddano do wojska.

Po wsiach było czasami gorzej: nie tylko chłopi stawiali opór, ale i szlachta zasypywała komisye porządkowe skargami na to, że werbunek ochotników uniemożliwia dostawę rekruta, a werbownicy podburzają chłopów i zaostrzają jeszcze silniej ich stosunek do dworów, nienajlepszy zresztą w niektórych okolicach.

Wypadło więc chwytać się innych środków.

W Warszawie np. dwukrotnie zabrano przymusowo do wojska „żywioły luźne", t. j. ludzi, nie mających określonych zajęć i sposobów do życia. Pierwszy raz uczyniono to zaraz po walkach kwietniowych, a drugi po wypadkach 28 czerwca. Kto nie otrzymał biletu, uwalniającego od werbunku, tego bez pardonu brano do obozu. Do jakich nadużyć doprowadził ten — konieczny zresztą po wypadkach 28 czerwca — środek, dowodem następująca okoliczność.

29-go sierpnia Kiliński, dowódca zwerbowanego w ten sposób 20-go pułku piechoty, wystosował do generała dyżurnego w obozie list („Dan w obozie pod Mokotowem..."), w którym oskarżał niejakiego Jakóba Kozłowskiego o to, że nie chce stawać w szeregu i mówi tylko: „zabijcie mnie, a broni żadną miarą nie wezmę". Z polecenia Naczelnika oskarżonego odesłano do Warszawy na śledztwo i tu okazało się, że historya jego jest dość szczególna.

Kozłowski był zamożnym szlachcicem z Radomskiego, służył 5 lat w kawaleryi narodowej, a do Warszawy przybył w czerwcu, uciekając z żoną przed nieprzyjacielem. Trafił on tutaj na okres wyszukiwania ludzi luźnych i, mimo protestu, zabrano go do obozu, wcielono do pułku 20-go, gdzie odrazu, co dla szlachcica i byłego kawalerzysty narodowego było największą obrazą, kazano mu stanąć w „glidzie" nie z karabinem, lecz z kosą. Stawił wtedy opór, po którym nastąpiła kara, tem cięższa, że Kiliński był świeżo upieczonym pułkownikiem, a więc pedantem w sprawach rygoru, koniecznego zresztą, gdyż pułk 20-ty nie składał się z baranków.

W podobny sposób w całym kraju nakazano spisać ludzi luźnych, włóczęgów i wcielono ich przymusowo do szeregów; nie oglądano się przytem za bardzo na wiek. Ludzi, stawianych do śledztwa, zwłaszcza na schyłku powstania, prawie z reguły oddawano do wojska, o ile zarzucane im przestępstwo należało do kategoryi lżejszych. Zabierano w ten sposób nawet Cyganów, którzy zresztą dość chętnie godzili się z tem, nawet Żydów, od czasu, gdy Berek Joselowicz rozpoczął formacyę swego pułku.

Specyalną kartę wśród tych ochotników niedobrowolnych mieli flisacy, pochodzący z Galicyi. Mimo zalecenia Naczelnika, mimo skarg komisyi porządkowych, ci „ludzie cesarscy", jak się sami nazywali, kończyli zwykle na wojsku.

Czasami drgnęło i w nich silniej serce na widok niedoli kraju. Jeden taki „człowiek cesarski", Jan Wolak (lat 50) z Chwałowic, oświadczył na śledztwie: „Proszę Boga, aby Polsce, dawnej mojej Ojczyźnie, pozwolił Moskali zwyciężyć"; inny, niejaki Jan Mokryński, zamienił to w czyn, mówiąc: „Z dobrej woli, nie z żadnej namowy, ani z przymusu, z szczerej chęci oświadczam, że idę do wojska". Ale przeważnie odpowiedzi brzmiały smutniej; przemawiała z nich niechęć do służby i cicha rezygnacya. „Myślałbym udać się do domu — mówił 40-letni Rafał Grzeguła z Urzędowa — wreszcie miałby mnie cesarz wziąć do swego wojska, wolałbym już służyć w wojsku narodowem". „Najwięcej bydło pasłem i mało żołnierzy widziałem" — ratował się 40-letni przeszło Kazimierz Kuc z Rytego, oświadczając jednak, że i do wojska pójdzie, jeżeli mu każą. „Jeżeli wola Boska będzie, to i żołnierzem zostanę" — mówił 27-letni Baltazar Czeranowski z Międzyrzeca.

Można darować te wymówki, bo nigdy i nigdzie podatek krwi nie przyjmował się łatwo, bo i z nich zresztą widać, że kończyły się czasy tej zupełnej obojętności chłopa na losy kraju.

Do ochotników zaliczyć należy wreszcie i dezerterów z wojsk nieprzyjacielskich. Dostarczyła ich przedewszystkiem armia pruska, złożona w tych czasach prawie w połowie z t. z. cudzoziemców, a między nimi i Polaków, werbowanych nawet na terytoryum Rzeczypospolitej, nawet w czasie kampanii r. 1794. Podczas pokoju utrzymywano ich w szeregach przy pomocy żelaznej karności, prowadzącej do tego, że jedna połowa garnizonu czuwała w nocy nad tem, aby druga —

nie zbiegła, że tresowano specyalnie psy gończe, alarmowano przy dezercyi całą okolicę; na wojnie unikano marszów nocnych, wysyłano ludzi po wodę pod strażą, ze specyalnemi ostrożnościami przechodzono przez lasy, wąwozy i nie zdecydowano się na przyjęcie taktyki tyralierskiej głównie z obawy zbiegostwa.

Z tego braku organicznego tej armii korzystali już Francuzi w r. 1792. Skorzystały też z niego bardzo szeroko i władze polskie. Zbiegłym z szeregów obiecano dukata na rękę, zapłatę za konia i broń, i wolność udania się, dokąd zechcą, o ile sami nie zgodzą się na wejście do służby polskiej; w tym ostatnim wypadku zapewniano im nadanie gruntów czynszowych po zakończonej wojnie. Odnośne odezwy, wydane w języku polskim i niemieckim, rozrzucono w takiej ilości, że żadne usiłowania oficerów nieprzyjacielskich nie mogły zapobiedz ich rozpowszechnieniu.

Komendy nieprzyjacielskie odpowiedziały na to represyami i środkami ostrożności: za zbiegostwo poczęto karać śmiercią, zamiast pędzenia przez rózgi, w marszach, w odwrotach zwłaszcza, otaczano kolumny piechoty kozakami, którzy mieli za wyłączne zadanie chwytać zbiegów. Mimo to — zbiegostwo rozwinęło się na wielką skalę. Po pułkach zmawiano się całemi gromadami do dezercyi, uciekano z placówek, z podjazdów, chociaż zbiegom nawet na terytoryum polskiem groziły nowe niebezpieczeństwa: placówki strzelały do zbliżających się, łapali ich Holendrzy, Żydzi, a czasami nawet i szlachta, gdy wojsko pruskie stało w pobliżu.



ŻOŁNIERZE KOŚCIUSZKI. ARTYLERYA JADĄCA NA POZYCYE.

Zbiegostwa te, niezwykle liczne, zaczęły się już od maja, a do najwyższego kresu doszły w czasie oblężenia Warszawy i odwrotu z pod niej. Uciekali przedewszystkiem Polacy: dawni wędrowni rzemieślnicy, flisacy, zbiegli z domów rodzicielskich chłopcy, których ongi zagarnęli werbownicy pruscy; uciekali zwłaszcza chłopi, zawerbowani w Polsce w latach 1793—1794.

Na niektórych pułkach o większości polskiej, Bośniakach np., nie można było wcale polegać, gdyż uciekano z nich gromadkami po kilkunastu, kikudziesięciu ludzi. Uciekali jednak i rodowici Niemcy, Berlińczycy nawet, choć były to żywioły mniej pewne i czasami zbiegostwo pokrywało tutaj szpiegostwo. Zbiegowie w 9-ciu wypadkach na 10 wstępowali do wojska polskiego, żądając jednak zwykle, aby ich umieszczano w pułkach wyborowych, np. w Mirowskich, w gwardyi pieszej koronnej, w strzelcach Sokolnickiego.

Na mniejszą trochę skalę dało się to we znaki armii austryackiej. I tutaj rząd polski użył tych samych metod działania, licząc głównie na Galicyan, Węgrów i Czechów. W tym celu również Naczelnik polecił w dniu 17 września wypuścić na słowo kilkudziesięciu wziętych do niewoli żołnierzy, Czechów i Węgrów. Nadzieje nie zawiodły, ale tylko odnośnie do Galicyan, a zwłaszcza Węgrów.

Oddziały, z którymi Harnoncourt i Wurmser wkroczyli do Rzeczypospolitej, składały się głównie z pułków węgierskich, w których jednak, zwłaszcza w piechocie, oficerami byli Niemcy. Żołnierze-Węgrzy szli w przeświadczeniu, że nie chodzi tu o walkę z Polakami. Drobne starcia z Prusakami, np. pod Sandomierzem, umacniały ich w tej wierze; mówiono nawet o odebraniu Krakowa.

Gdy się przekonano, że walczyć wypadnie z Polakami, rozpoczęło się wśród Węgrów zbiegostwo. „A ponieważ — mówił Paweł Bernard, huzar z pułku Esterhazego — już około 600 ludzi zdezerterowało do Naczelnika Kościuszki, ja również mam chęć udać się do obozu i bić się za wolność". Gdy go zapytywano, czy nie zbiegł z obawy przed karą, odpowiadał: „Wcale nie, jedynie w chęci zaciągnięcia się pod chorągiew Kościuszki, któremu z duszą i ciałem służyć chcę". „Mając teraz sposobność wejścia do Polski — oświadczał Emeryk Nagy — i słysząc o sławnym generale Kościuszce, dezerterowałem z chęcią służenia mu".

Najspoiściej stosunkowo trzymała się armia rosyjska. I tutaj słyszy się o wypadkach dezercyi, nieraz zbiorowej, czasami uciekają nawet oficerowie, ale są to rzeczy bądź co bądź odosobnione. Tylko kozacy zbiegali liczniej i z nich Sierpiński tworzył osobny pułk. Natomiast jeńcy, i to rodowici Rosyanie, nie okazywali szczególnego wstrętu do służby polskiej. Ze 143 jeńców wojskowych i cywilnych, których zbadano w Rajtszuli w dniu 10 czerwca, 22 chętnie wstąpiło w szeregi polskie, reszta zachowała się biernie, a tylko jeden, Kondratij Nowikow, powiedział: „Nie chcę służyć przeciw swej Ojczyźnie". Brali ich później do służby Karwowski i Łaźniński, a ten drugi dał im słowo, na ich żądanie, że używać ich będzie tylko prze-

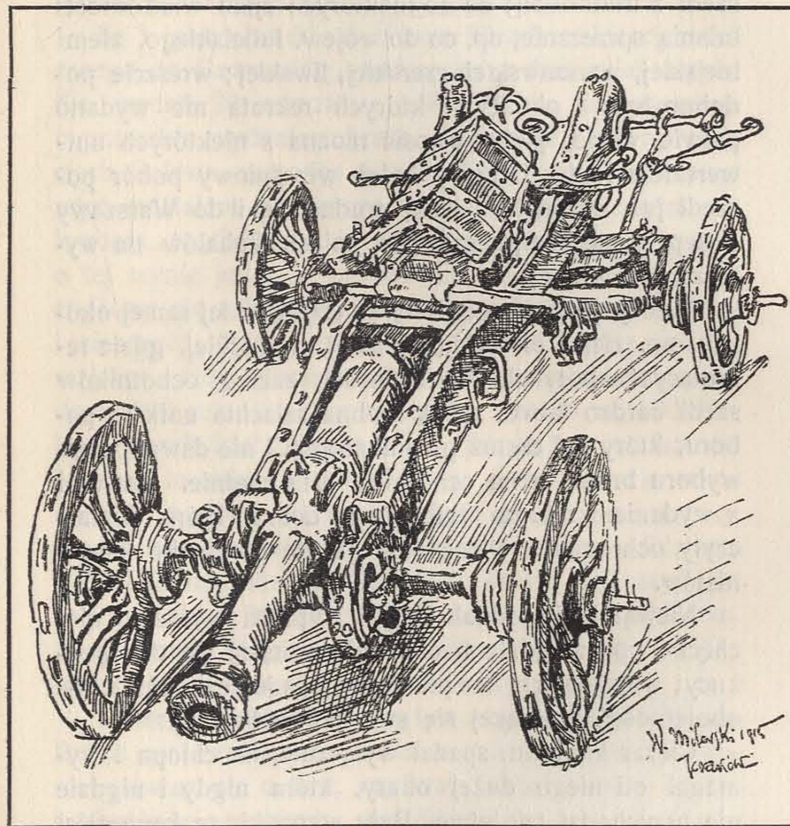
ciw Prusakom. Niektórzy z nich dosłużyli się nawet stopni oficerskich.

IV.

Głównem źródłem zasilenia wojska regularnego był jednak pobór rekruta. Rozpisano go za czasów wojny dwukrotnie: raz 6-go czerwca, żądając dostawy jednego rekruta pieszego, uzbrojonego, ubranego, zaopatrzonego w suchary i żołd na miesiąc — z 5 dymów i jednego kawalerzysty — z 50 dymów, zaopatrzonego w konia wartości 250 złp.; drugi raz 18 września, po zniesieniu pospolitego ruszenia, żądając jednego piechura z 10 dymów, jeźdźca z 50. Był to kanton stosunkowo najdemokratyczniejszy w tych czasach, gdyż wyłączono od niego tylko zamożniejszą szlachtę, żądając natomiast rekruta od miast i drobnej szlachty.

Żydzi wystawiali zamiast siebie kantonistów chrześcijan lub dawali, podobnież jak Menoniści, odpowiednie kwoty pieniężne na zaciąg. Uznano w całej rozciągłości zasadę dawania zastępców, zwłaszcza po miastach; dezerterzy pruscy, ludzie „luźni“ i t. p. podejmowali się chętnie zastępstwa za dobrą zapłatą. Trudno odpowiedzieć ściśle na pytanie, jak przeprowadzano te uniwersały w kraju.

W jednych okolicach — np. w Warszawie, w powiatach grodzieńskim, kowieńskim, preńskim, na Żmudzi wogóle, w ziemi mielnickiej — wydano rekrutów prędko i chętnie w czasie pierwszego poboru; w in-



ARTYLERYA KOŚCIUSZKI ARMATA.

nych, np. województwie brzesko-litewskiem, ziemi drohickiej, nurskiej, łomżyńskiej, chełmskiej, pobór poszedł z trudnością; co do niektórych ziem wiadomości brzmią sprzecznie, np. co do wojew. lubelskiego, ziemi bielskiej, warszawskiej, czerskiej, liwskiej; wreszcie podobno były i okolice, z których rekruta nie wydano prawie wcale, jakby wnosić można z niektórych uniwersałów Rady. Drugi z kolei, wrześniowy pobór poszedł już wszędzie z dużą trudnością i do Warszawy posypały się skargi szlachty, miast, kahałów na wyniszczenie kraju.

Należy jednak podnieść, że często w tej samej okolicy, np. ziemi bielskiej, nurskiej, drohickiej, gdzie rekrutacya napotykała na trudności, zaciąg ochotników szedł bardzo łatwo, gdyż drobna szlachta unikała poboru, który był czemś przymusowem i nie dawał prawa wyboru broni, a na ochotnika szła chętnie. Czasami z wydaniem rekruta zalegały te dobra, które dostarczyły ochotników więcej, niż na nie przypadło kantonistów.

Niewątpliwie jednak były i wypadki wyraźnej niechęci i oporu, gdzie trzeba było uciekać się do egzekucyi wojskowych, kar pieniężnych, a jeszcze częściej — obojętności, broniącej się swą bezwładnością.

Ciężar kantonu spadał wyłącznie na chłopa i wymagał od niego dużej ofiary, która nigdy i nigdzie nie przychodzi tak łatwo. Były wypadki, że kantoniści przychodzili do miast bez straży, ze śpiewami, w towarzystwie kapeli (Lubelskie), że robili wrażenie ożywionych szczerym animuszem żołnierskim (ziemia mielnicka, pow. kowieński, grodzieński etc.). Ale już samo podnoszenie tych faktów przez pisma współczesne mówi, że nie były one powszednimi.

Są i inne obrazki. Z klucza Klembowskiego, należącego do Czarnockiej, podczaszyny drohickiej, wypadło wydać 20 rekrutów. „Włościanie, uwiadomieni o potrzebie wydania rekruta — opowiadał o tem Wojciech Bolesta, zarządca dóbr — kryć się poczęli, więc użyć musiałem sztucznego sposobu pod pozorem polowania...“ „Gdyśmy się zebrali we dworze — mówił o tej scenie jeden z popisowych, Józef Sobczak — zaczęliśmy się uskarżać, iż do tylu uciążliwości, trudów i niewygód dodają jeszcze panowie zabieranie nas do wojska“. Gdy szlachcic lub ekonom sam niechętnie dostarczał rekruta, gdy zwłaszcza, jak to uczynił Bolesta, powiedział: „moje dzieci, jak ja was oddam do wojska, to sobie możecie uciec, a mnie to nic szkodzić nie będzie“, to sprawa była przegrana i z góry można było przewidzieć, że popisowi zbiegną. Dlatego tak wiele zależało od stanowiska dworu w tej sprawie, w której chłop był przeważnie nastrojony biernie, dlatego Horain, Zajączek i Piotr Potocki tak gorzko narzekali na obojętność nawet szlachty.

Czasami wchodziły w grę i czynniki innego rodzaju. Brano na kantonistów ludzi w wieku od lat 18—40, nie mówiąc nic o tem, czy uwzględniać należy położenie ludzi żonatych, osiadłych na gospodarstwie. Wszystko zależało w tej mierze od dworu, a w praktyce od ekonoma. To też brano czasami ludzi żonatych, odrywano chłopów od gospodarstwa, brano tych

zwłaszcza, którzy się czemkolwiek narazili ekonomowi. Skarg w tej mierze jest dosyć w aktach śledczych epoki.

Były to wypadki dość częste, zwłaszcza pod koniec wojny. Uciekano do wsi rodzinnej i kryto się tam po lasach, o ile ekonom nie patrzył obojętnie na jawny pobyt we wsi. Natomiast zbiegostwo do nieprzyjaciela należało do niesłychanych wyjątków i nieraz na pytanie samo o coś podobnego oburzała się szczerze dusza chłopska. „Wolałbym zginąć w Polsce, aniżeli się tak niegodziwego czynu dopuścić“ — zawołał Maciej Jędrzejewicz, dezerter z brygady Mangeta. „Szpiegiem nie jestem — mówił Stanisław Jastrzębiak — ale gdy mnie chciano na przeszłą kampanię brać w żołnierze, kryłem się i uciekałem. Teraz zaś wolałbym już i w wojsku służyć, niż za szpiega być poczytanym“.

Czasami już po ucieczce budziły się w duszy zbiega pewne wątpliwości: złożył przecież przysięgę, odstąpił towarzyszy broni. Jeden ze zbiegłych popisowych klembowskich, Jędrzej Wyszyński, syn wójta z Jasienia, tak opisywał swój powrót do wojska: „Niespokojny byłem, że wykonałem przysięgę w wojsku, a tej nie dopełniłem. Z tego powodu, namówiwszy się z dwoma, t. j. z Mateuszem Wienszakiem z Jasienia i Józefem Sobczakiem, poszliśmy razem napowrót do naszych komend. Wychodząc ze wsi, opowiedzieliśmy się Krajewskiemu, ekonomowi“.

Był to zawsze ten sam chłop polski, kryjący na dnie duszy duże poczucie prawości, mniejszy winowajca w sprawie zbiegostwa od tych przedstawicieli szlachty, którzy mówili mu: „Moje dziatki, możecie się musztry uczyć, a potem uciec; mnie to nic nie będzie szkodziło, bylem was tylko przystawił“.

